



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. i sgr. 20.

Z ŻYCIA.

Wpływ, jaki otoczenie wywiera na człowiek a jest rzeczą znaną i uznaną ogólnie. To, co w wychowaniu pedagog nazywa siłą przykładu, jest siłą tego działania, któremu opierać się mogą jedynie duchy najwyższe, charaktery mocne i już wyrobione. Wrażenia grają tu rolę bardzo wysoką; są one względnie do uczucia i wyobraźni czemś podobnem do uderzenia w klawisz: struna dotknięta drga i dźwięk wydaje. Liczyć się też musimy z wrażeniami, które dajemy życiu naszemu, bo nie przechodzą one po niem bez znaczenia. Całe oddziaływanie na nas świata zewnętrznego odbywa się za pośrednictwem wrażeń; nawet odepchnięte wywierają je nie tylko przez to samo, że był odpor i walka. Z czem walczymy, co odpieramy, jest rzeczą wagi ogromnej i historia wrażeń doznawanych, to dzieje ducha naszego. Możemy też utworzyć sobie wyobrażenie bardzo blizkie prawdy tak o społeczeństwie całym, jak o jednostkach, które je składają, jeżeli znać będziemy wrażenia, którem ulegały i dziennikarstwo naszego czasu, notujące skrętnie tak objaw każdy, jak stopień zajęcia publicznego, niezmiernie dopomaga do poznania wewnętrznego żywota narodów.

W tej chwili mam na myśli Sarę Bernhardt i jej pobyt między nami. Repertuar sztuk, które grała, jest wiadomy każdemu: wszystkie są mniej więcej brzydotami moralnymi, wprowadzają myśl w sferę namiętności niskich, w świat upadły zepsucia i nędzy duchowej; a jednak jest to faktem, że nie tylko kobiety uczciwe składały połowę publiczności teatralnej, ale matki prowadziły tam córki: w łóżach i krzesłach siedziały młode panny, słuchały, płakały, klaskały z innemi, patrząc

na tę grę przeważnie nerwów i namiętności. Im talent aktorki okazał się większym, tem rzecz gorsza, bo wrażenie wywarło musiało być silniejsze i uniknąć go mogły chyba te już najbardziej beznymne lalki, które ograniczyły się do rachowania falbanek i podziwianiu strojów przedstawianej heroiny. A przecież nie sam czyn tylko odbiera świeżość i czystość duszy, strząsa pyłek delikatny z kwiatu uczucia, ściiera promienną barwę ze skrzydeł dziewiczej Psychy. Pierwszy Grek, który wymówił w języku ojczystym wyraz, oddający wyobrażenie rzeczy, w pojęciu greckiem nikczemnej: wymówił słowo: haracz... został skazany na śmierć przez Temistoklesa, jako ten, który skaził duszę narodową wrażeniem upadającego, i jest w tem wysoka nauka moralności, która nigdy zapomniana być nie powinna. Niezłe to były czasy, gdy nie tylko młode panny, ale niewiasty nawet, niosły na czole koronę wstydlivosti. Trzeba „wyrósć na dziewicę“, woła Krasinski w wierszu *Do kobiety*, której powiada: „Wtedyś pięknoscia! Wtedyś ideałem!“ — wtedy gdy dusza twoja pić będzie tylko ze źródeł niezamoczonych, będzie przebywać tylko w kole uczuć czystych. Inaczej kobieta nie otrzyma nigdy uznania tego od mężczyzny z wyższym, szlachetnym ducha nastrojem, z wyższem, szlachetnem uczuciem w piersi:

Choć serca znęcisz skrawych ocz krysztalem,
Lub je podepczesz częściej myśli suchością,
Nie będziesz jeszcze żywym ideałem,
Nie będziesz jeszcze niewieścią pięknoscia!

W społeczeństwie naszym takim był tradycyjny typ piękności kobiecej, złączonej nierozdzielnie z urokiem skromnego wdzięku, który przecież nigdy otrzymać się nie daje tam, gdzie złe wrażenia zamagają źródło uczuć młodych, gdzie myśl przyzwyczai się do obrazów gorączkowych

zepsucia i upadku moralnego. Co naprzykład postać Małgorzaty Gautier może przynieść wyobraźni kobiecej? Jest to wysokim zadaniem sztuki, aby budziła „lzy i zachwyt“, aby wstrząsała uczuciem, ale potrzeba na to godnego celowi przedmiotu: szlachetnie przez sztukmistrza stworzonego obrazu istot i położeń szlachetnych i wtedy wpływ wrażeń, przez artystyczne złudzenia otrzymanych, rozszerza serca i duchy podnosi. Kiedy Joanna Schillera modli się na scenie swoją przepyszną modlitwą (mamy bardzo piękny przykład Odyńca) kiedy para młodzieńskich kochanków z Werony umiera w lochach grobowych, lub niewinna Desdemona ginie w okrutnych rękach czarnych namiętnego szaleńca, niech lzy kobiet płyną, niech serca się rwą, niech wyobrażenia oderwana od powszedniego bytu i jego zajęć codziennych leci za poetą w kraj fantazy, w kraj uczuć gorących: nic w tem złego nie będzie dla żadnego dziewiczego serca. Nie wiedza tego, że są na świecie miłości wielkie i jak śmierć mocne szkodę jej przyniesie, szkodą są tu obrazy uczuć niskich, istot upadłych, do których ona, kobieta uczciwa, nigdy myślą zestępować nie powinna, bo myśl tę brudzi, bo wrażeniami wyniesionemi z tej sfery tak sobie białosc ducha przyćmiewa, jak przyćmiłaby białosc czoła, gdyby na wzór cyganki wystawiła je bez osłony na ostre wichry i upały gorące. Duchy opalają się, jak ciała, a do silnie w tym kierunku działających wpływów zaliczam złe widowiska dramatyczne, czytanie złych książek.

A i ta powódź zalewa nas, z zagranicy nam przybywając. Smutno to powiedzieć, ale spekulacja, bo to nie jest już literatura—spekulacja tłomaczeń w bardzo znacznej części przykładą się do tego.

Płacze się między zdawkową monetą sądów ludzkich, usprawiedliwiający niby te rzeczy stary kommunal sofistyczny, że tam, gdzie istoty upadłe kończą, nieszczęśliwie, umierają naprzykład

na suchoty, jak Małgorzata Gautier lub Frou-Frou, już niema niemoralności, a przeciwnie jest nauka, jest przykład kary, ale kłamstwo to i sfałszowanie pojęć najwyższe, bo niemoralność ze wszystkimi skutkami psującymi, w tem się zawiera, gdy przedstawiamy wyobraźni przedmioty zajęcia brzydkie, gdy przyzwyczajamy myśl do przebywania wpośród nich, gdy wreszcie, zadając gwałt prawdzie, wyzyskiwamy na ich korzyść przez efekta sztuczne tę litość i współczucie ludzkie, które się należy innym boleściom, innym cierpieniom i żałobom ludzkości. Odbieramy wtedy dobru i pięknu czystemu te blaski jasne, które jedynie i wyłącznie jego są własnością, kazimy smak publiczny, pozbawiamy wreszcie serca młode wstrętu do niecnoty, który jest drugą stroną umiłowania cnoty. Gdy Muza Wiktora Hugo pyta młodego bojownika ducha, jaki jest jego rym-sztunek rycerski, z którym ma wystąpić w szranki życia? ten jej odpowiada:

— Mam już: nienawiść złego! Mam już: miłość dobra!...

Są to dwie zbroje, dwa oręża, jako Cydowi naprzemiany służyć mające, ale rycerz potrzebuje jeszcze tarczy i na ten użytek bierze „dumę i wzgardę...“ dumę nieskalaną swojej, pogardę nędznego na złoconą ziemię upadku.

Miłość dobra zmniejsza się zawsze a nawet ztraca zwolna, u tych, co już wstrętu do złego, złego nienawiści doświadczać nie mogą, które to uczucia nie są bynajmniej jakimś dzikim stanem niehumanizacji, ale koniecznym i naturalnym wyłączeniem się uczuć, wręcz sobie sprzecznych i niegodzących się wzajem. Z idei chrześcijańskiej urodzona parabola Pasterza Dobrego, wiecznie już żyć i działać będzie wśród społeczeństw, ale nędzy moralnej należy się od nas jedynie miłosierdzie ofiarne, miłosierdzie, które się poświęca, dotykając i opatrując jego rany, lecz nie nadto, i nigdy, przenigdy zle obok dobrego na prawach równości i bratania się przyjaznego istnieć nie może.

Nie może tem więcej wkroczyć w dziedzinę ideału. Szara jest suknia pokutnicy, popiołem posypana i nikt bez sofizmu, bez fałszu, bez pogwałcenia rzeczywistości, wybielić jej tak niepostrzeżenie, aby wolno było użyć jej za draperią, w której poezja stroi ożywione przez siebie postaci. Wszystkie dziewięć sióstr nieśmiertelnych czyste mi były dziewicami i czystym musi być świat, kiedy panują. Żaden szpital, ani moralnych, ani fizycznych chorób, dawać nie może wzorów sztuce szlachetnej, bo rzeczywisty, nie fałszowany ideał piękna, odstępkuje ją wtedy, a trujące miazmaty zarazę światem niosą—sztuka upada, a pojęcie dobra gwałt cierpi.

Duma czystych, duma uczciwych, uczucie godziwe i z godnością osobistą każdego zacnego człowieka, każdego dostojnego ducha najściślej związane, broni nam koleżeńskiego przebywania z istotami moralnie poniższymi i tarcza to ode złego niewątpliwie hartowna, niewątpliwie mocna, bo prawdą najwyższą jest stary nasz axiomat: — Z kim kto przestaje, takim się staje! Już się takim stał poczęści, gdy do przestawiania z upadłymi się skłonił, gdy się przed uściskiem brudnej ręki nie wzdręgnął, chleb, nie jako komunią miłosierdzia, ale jako bankietowanie przyjazne z nędznymi, podzielił. I raz też jeszcze powtórzę, wielki nacisk na to kładąc, że duma uczciwych, to rzeczywiście tarcza, pawęż mocna, którą przeciw wykradzie złośliwym młodzieży naszej taka sztuka upadła, dla efektu kontrastów strojącą nikiemość prostą w piękno, czystemu ideałowi wydarte. Co tu szkody, co krzywdy sercom i umysłom ludzkim wyrządzonej, obliczyć nie podobna!

Wstydlivość, wszystkich wyżej wymienionych uczuć kwiat delikatny, z gruntu czystego serca w duchu kobiety wykwitły, wiednie też prędko i umiera, gdy palące tchnienie złych wrażeń nawskróś wyobraźni przejmie. Kto się w obrazy zepsucia wpatrywać nauczy, kto się niemi wzruszać, kto się niemi lubować może, już się wstydliwie płonąć nie potrafi. Świeżość, idealność uczucia ginie niepowrotnie, unosząc za sobą cały ten wdzięk czarowny, którego istota, treść żywotna przypada. Nie wyrasta się wtedy na dziewicę i żaden

poeta szlachetny nie zawołał już do kobiety takiej: — Tyś jest pięknoscia! tyś jest ideałem!...

Marya Ilnicka.

NA BIALSKIM ZAMKU

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów Augusta III-go

przez

Józefa Ign. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Gdy to mówili, drzwi przedpokoju skrzypnęły, chód mężki dał się słyszeć. Łuksza, nastraszony, kułak włożył w gębę i ukąsił się w niego. Wstała z kanapki Zaborska. Po chodzie poznali czy przeculi właśnie wilka tego, o którym była mowa. Koniuszy radby był widocznie skryć się gdzieś albo drapnąć, lecz wyjścia nie było innego. Jak przez pokój córki, do którego lękał się zajrzeć. Został więc, i głos podniósłszy, nim przyszedł Wolski, jakby o nim nie wiedział, rzekł do gospodyni:

— Niechże pani wcześniej da znać o konie do Leśnej, gdyby potrzebowała, bo ja nie zawsze mogę dać. To ten to ów rozrywają, ani nastarczyć.

— A co para koni do Leśnej znaczy? — odparła głośno Zaborska.

Wtem wszedł Wolski. Był to znany faworyt ów książęcy, powiernik jego, na którego widok drżeli wszyscy we dworze. Gdy się spojrzało nań nie zdawało się prawdopodobnym, co na niego ludzie mówili. Nie stary był, bardzo przystojny, brunet, z orlim nosem, z białymi pięknymi zębami, a usta mu się niby dobroduszenie uśmiechały. Zdawał się człowiekiem łatwym do życia i wcale nie straszny. Chytróść i przewrotność, które mu zarzucano, wcale się na twarzy wesołej nie malowały.

Wchodząc, spojrzał bystro na Łukszę, który mu się bardzo nisko pokłonił, i zbliżył się do Zaborskiej, witającej go bardzo uprzejmie i nadskakująco.

Łuksza, chcąc się wynieść coby prędzej, powtórzył zmyśloną historią o koniach do Leśnej i wysunął się pospiesznym krokiem.

Wolski wziął się w bok, rzucił okiem po mieszkaniu, uśmiechnął się trochę złośliwie i szepnął: — Mam dwa słowa.

— Choćby dziesięć! — rozśmiała się gospodyni. Siadajcie! proszę.

— Gdzie mnie tam przysiąść. — westchnął Wolski, — tylko co nie widać jak do księcia zawołają.

— A kawy — nie napijecie się?

— Niema czasu.

Potarł kędzierzawego, czarnego włosa; Zaborska czekała co powie.

— Ja do jejmości z sekretem przyszedłem, — rzekł głos zniżając, — ale mnie nie zdradźcie. Przekonacie się, że Wolski wam życzy dobrze.

Zaborska się uśmiechnęła mile.

— Mieście wy się na bacności. — począł szeptać przybyły. Gadajcie sobie, co chcecie, a ja to wiem, że w pannie Faustynie na zabój się kochał Butrym Damazy.

— Co? co? jabym takiego hołysza...

— Nie mówię, żeby jejmość go sobie życzyła, ale on do Faustysi smażył cholewy.

Nie dając sobie przerwać gadatliwej jejmości, Wolski z chytrym uśmiechem ciągnął dalej:

— Co to gadać! Co się wie, to się wie. Otoż ja jejmości coś powiem. Damazego brat wysłał do tego Lunewilu, do króla Stanisława: to wiadomo. Urwał się bestya i powrócił.

Zaborska pobałdła.

— Gdzie? jak?

— No, wiem, wczoraj w nocy tu był. Stał u

Chai w rynku, przychodził cichaczem do brata, potem Mareyan go odprowadzał, a dziś zrana zniknął.

Zaborska słuchała, poruszona i zakłopotana.

— Zniknął, tak, wyniósł się, ale ja wiem, że tu jest i gdzieś się przychował, — kończył Wolski. To już i najgłupszy zrozumie, że jego tu nie innego nie przypędziło, tylko miłość dla panny Faustyny. A co? a jak książę się dowie o nim!

— Ale cóż mnie do niego? — wybuchnęła gorąco Zaborska. — Jego tu noga nie postanie! on jej na oczy widzieć nie będzie! To, z pozwoleniem, lajdak odartus, hołysz, ja go nigdy do siebie nie wpuszczałam... Może mu Faustynka była w głowie, kto go wie! Mało ona komu się podobala! ale żeby on śmiał...

— Widzisz jejmościuniu, — rzekł spokojnie Wolski, który w tej chwili krzesło sobie przysunął i przysiadł — że ja jej i córce dobrze życzę. Dość, żeby zwąchano, że on tu się koło niej kręci, nasz pan, aj! Boże utrzymać go nie będzie można w gniewie; gotów tego smyka...

— A! niech z nim robi, co chce! a niech go morduje i katuje, ja żałować nie będę! — z wściekłością poczęła, rękami rozmachując Zaborska. — Żeby taki jakiś hołysz śmiał mi tu do Faustynki się zalecać i na nią ścierać podejrzenia! Gdyby się pokazał tylko, ja pierwsza dam znać do kordegardy! Niech go biorą...

Wolski słuchał i patrzył pilno, a usta mu uśmiech łagodny przebiegał.

— Książę strasznie jest zazdrosny, — dodał. — Niema dnia, tak, między nami mówiąc, żeby się mnie *directe* lub *indirecte* nie spytał: — A był tam kto? a nie widzieliście kogo u Zaborskiej? — A chodziła Zaborska z córką? a dokąd?

Starej głowa się zatrzęsała.

— Już to, jak Boga kocham, — zawołała, — książę pan w tem nas krzywdzi. Sądź sam! Czy my gdzie za próg nogą stąpniemy? chyba do kościoła... Czy ona spojrzy na kogo? My tu, jak zamurowane w klasztorze siedziemy.

Nie odpowiadał Wolski długo.

— To się tak mówi, — rzekł w końcu, — dlatego, żebyś jejmość wiedziała, bo ja jej dobrze życzę.

Uniosła się Zaborska i pochwyciła go za rękę namiętnie.

— Słuchaj Wolski! — zawołała, — my z sobą tak wiernie i pocziwie trzymać powinniśmy, to my tu, — no, co to mówić! Wy u księcia pierwsze oko w głowie, ona! On szaleje za nią. Jak my się za ręce weźmiemy...

Wolski się poswojemu uśmiechnął. Wahał się chwilę, nie był pewnym siebie, potem nachylił się do ucha Zaborskiej i szeptać jej coś począł. W miarę, jak mówił, twarz jejmości płonęła i biała. Zadrzała cała, wpadła w zadumę jakąś smutną. Skończył już, a ona się jeszcze długo na odpowiedź zebrać nie umiała, co przy jej gadatliwości było uderzającym. Widocznie sprawa, o której Wolski zagałęł pocichu, nad miarę się jej zdać musiała ważną. On czekał na odpowiedź.

Stara rękę jego trzymała, zniżyła głos, spoglądając na drzwi ku pokojowi córki.

— To twoja rzecz! — odezwała się, — ja nie będę od tego! Próbnij! Przeszkadzać nie będę, ale mnie się samej w to wdawać nie wypada. Twoja rzecz. A no! jakby kto wypatrzył, jakby się to rozniosło!

— Nie może być, — mruknął Wolski, — ja w tem.

— Ja przeszkadzać nie będę, — powtórzyła Zaborska.

Znać było, gdy to mówiła, że przeszkadzać wprawdzie nie śmiała, ale pomagać ochoty nie miała także.

Stał Wolski chwilę, niepewny jakoś, co dalej mówić. Położył palec na ustach, głową skinął i wyszedł.

Zaborska posunęła się za nim kroków kilka przeprowadzając, pomieszana nieco i zadumana, zawróciła się potem do swego pokoju i siadła, wlepiając oczy w okno, przez które już mało co światła wpadało. Mrok wieczorny nadchodził.

Była to godzina, o której i córka jej musiała porzucić robotę. Wstała więc po chwili i wolniejszym niż zwykle krokiem poszła przez ciemną

sionkę do córki pokoju. Miała zwyczaj niedobry: szpiegowania swojej Faustysi, i teraz też drzwi swe otwarła jaknajciszej, podstąpiła na palcach, schyliła się do dziurki od klucza i pilnie w nią wlepiała oko.

Właśnie naprzeciw, tyłem zwrócona do okna, siedziała Faustysia u krosien, ale już robotę porzuciwszy. Białe jej ręce spoczywały na kolanach, głowę miała w tył pochyloną na poręcz krzesła. Gdyby kto boleść chciał malować, mógłby ją za wzór obrać, cierpienia w odrętwienie już jakieś przechodzącego.

Śliczna była twarz jej z wielkimi błękitnymi oczyma, otoczona włosiem ciemnym; przypominała jakieś na obrazach kościelnych święte męczennice. W tej chwili właśnie, jakby wspomnienie jakieś przepełniło ją bólem, zdawała się płakać suchymi łzami, które są od wilgotnych straszniejsze. Myśl jej była gdzieś daleko od tych krosien, od zamku, od dnia obecnego.

Matka nawet, którą zazwyczaj smutek i boleść córki niecierpliwiły i gniewały, poczuła jakoby chwilę litości, wejrzawszy na nią. Lecz wnet ogarnęła ją złość jakaś. Otwarła drzwi z łoskotem i nie zważając, że Faustynka krzyknęła z przestrachu, wpadła wprost ku niej, wołając:

— Cóż to znowu za desperacye! Siedzi panna nad krosnami, jakby umęczona i najnieszczęśliwsza, gdy jej tylko ptasiego mleka braknie. Wszyscy się nad nią rozpadają, rodzona matka głowę trąci, a jej niczem nie dogodzić! Co tobie jest! co tobie!

Faustysia wstała, ręką pocierając czoło, westchnęła z rezygnacją.

— Nic mi nie jest. Za cóż matka łaje? Mrok padł, przestałam szyc i zadumałam się. Za cóż znowu....

— Jakbym ja ciebie nie znała! — poczęła matka, stojąc przed nią, gdy ta już na krosnach porządkowała. — Tobie wszystkiego mało! szybki z okna, kafelka z pieca, gwiazdki z nieba ci się chce!

Faustysia nic nie odpowiadała; był to wypróbowany już sposób uśmierzania takich gniewów macierzyńskich, często się powtarzających.

Zaborska, wyrzekłszy jeszcze podobnych narzekan i wymówek sporo, zaczęła łagodnieć powoli, pogłaskała córkę po głowie, głos jej nastroił się czulej.

Siadły obie o szarej godzinie, jak co dzień, w sypialnym pokoju Faustysi, która z rękami założonemi na piersiach przysunęła się do okna i uparcie milczała.

— Był Wolski — odezwała się matka znacząco.

— On nam dobrze życzy — dodała po chwili. — Słowo daję. Na niego, Bóg wie co wygadują, dlatego, że księciu służy wiernie, ale to człowiek — oto! i rozum ma i daleko pójdzie. Tego ludzkie w kaszy nie zjedzą.

— Ale on ich zjadł wielu! — szepnęła cicho Faustysia.

— At — przerwała matka — wymyslają nań, bo się go boją. My z nim trzymać musimy.

— My? — odparło dziewczę — a cóż mnie do niego. Ja z nim ani źle, ani dobrze być nie chcę.

— A powinnaś być dobrze — poprawiła matka — ja ci to powiadam. On dla ciebie....

Nie śmiała dokończyć, tak straszne na nią rzuciła córka wejrzenie, cała się wzdrygnawszy. Milczały obie. Łagodząc wrażenie ostatnich wyrazów. Zaborska córkę pogłaskała po głowie i szepnęła:

— Gdy pożyjesz dłużej, zobaczysz, że ludzi nie trzeba odpychać, choćby się do nich serca nie miało. Człowiek nic nie wie, co go spotka.... na jutro się musi oglądać.

Faustysia odpowiedziała tylko westchnieniem.

Pomiędzy matką a córką, bliżej się przypatrując ich stosunkowi, stało jakby coś, co je od siebie dzieliło, i z obejścia się córki wnosząc było można, że wina była nie po jej stronie. Faustysia, nie uchybiając matce, dla której poszanowanie pewne zachowywała, miała nad nią jakąś wyższość i przewagę. Niespokojnemi oczyma mierzyła ją Zaborska, gderając, aby się utrzymać przy swych prawach, lecz widać było, że się jej obawiała, że rada była uczynić ją czulszą dla siebie. Ze strony Faustysi, oprócz chłodnego posłuszeństwa i poddania się woli matki, której władzę

uznawała, nic serdeczniejszego czuć się nie dawało.

Zdawała się owszem mieć na ostrożności i gdy matka o Wolskim zagadnęła, a Faustysia spojrziała na nią groźnie, Zaborska natychmiast umilkła.

I więcej też już o nim mowy nie było.

Matka zawołała na służącą, aby światło podała, bo w mieszkaniu Faustysi robiło się coraz ciemniej, gdy szłapanie słyszeć się dało, a stara poznawszy chód, porzuciła córkę i wyszła do swojego mieszkania. Faustysia, zobaczywszy ją wychodzącą, jakby ciężar spadł z niej, swobodnie siadła znowu dumać i śmieiej rzucała dokoła oczyma.

Nasłuchiwała jeszcze chwilę: czy matka nie powróci — niespokojnie — zapaliła potem stoczek, postawiła go na stoliku, tyłem się do drzwi zwróciła i, dobywszy zza gorsu kawałek zmiętego papieru, pilnie się w nim rozczytywać zaczęła.

Lice jej to się rumieniło, to bladło, zamyślała się, podierała u rękę, wyjmowała papier i chowała go razy kilka, naostatek zwinawszy i ścisnąwszy szybko, nań zaczęła nici nawijać, tak, że wkrótce znikł papier dokoła nimi oplątany.

Gdy się to działo w sypialni Faustysi, Zaborska przyjmowała u siebie gości, który w tych pięknie bardzo przybranych pokojach dziwnie się wydawał.

Była to stara, o kiju chodząca, zgarbiona kobieta, tak nędznie, ubogo i brudno odziana, że wyglądała na żebraczkę. Na głowie siwy włos potargany obwiązany był chustką barwy nieodgadnionej; na sobie miała tułubek ciemny, zatłuszczony i z przodu aż świecący od zużycia, podbity jakimś futerkiem wytartym, tak, że z niego miejscami skórka tylko naga pozostała. Nogi obute w jakieś chodaki, zbyt dla niej wielkie, wydawały się jak obrzękle. Pod tułubkiem suknia ciepła, obwiązana była chustą na piersiach i paskiem podciągnięta.

Ręce, z których jedna wisiała na tułubku, druga spierała się na kiju, były duże, pomarszczoną obciążone skórą, z kośćmi wydatnymi i jakby narościami powiększonymi. Przypominały drapieżnego ptaka szpony, twarz starej czarownicy, w której broda z nosem się prawie stykała, chuda, żółta, ze szczękami bezzębnymi, włosiem w części pokryta, odrażająca była wyrazem jakiejś chciwości, namiętności, rozciekawienia gorączkowego. Była to w całym dworze znana Szurska, wdowa po dawnym koniuszym pańskim, która z Wolskim razem i Zaborską w szczegółnych była u pana łaskach. Bezdzienna, niemająca rodziny, Szurska wychowywała i zamęczała dziewczęta — i, mówiono, że zbierała pieniądze, bo żyła najobrzydliwiej skąpiąc, a brała płacę znaczną, i co roku gratyfikacye. Na dole w temsamem skrzydle zamkowem, zamieszkiwała oddawnych czasów, we dwóch nędznych izdebkach, sama sobie tam jeść gotowała i różne przyprawiała lekarstwa. Uchodziła za lekarkę, ale więcej ludzi miało ją za niebezpieczną czarownicę. Funkcyj nie miała we dworze żadnych widomych, lecz mówiono, że szpiegowała i donosiła, a książę często ją do siebie wołać kazał, i samnasam się z nią widywał. O przeszłości jej mówiono różnie, niezbyt dla niej pochlebnie, a mimo to kłaniano się jej z poszanowaniem.

Starsza ona tu była na dworze od wszystkich — przebyła wielu wzniesienie się i upadek.

Zaborska i jej córka podobno Szurskiej winny były, że się na dwór dostały. Ona-to napatrzyła Faustysię i wracającego z polowania księcia chorążego do dworku, w którym mieszkała, posłała. Widać było z obejścia się z nią Zaborskiej, że, choć dziś sama już w łasce księcia ufność miała, obawiała się Szurskiej i szanowała ją bardzo. Stara rozkazując mówiła do niej i obchodziła się z nią, jak z podwładną.

Z nikim też ona nie bywała grzeczniejszą, lajała głośno najpokaźniejszą starszyznę, a nikt ani jej odpowiedzieć, ani się na nią śmiać poskarżyć.

W owych czasach pobożności wielkiej i powszechnej rzucało i to cień na Szurską, że rzadko do kościoła chodziła, a gdy czasu świąt do Fary pójść musiała, stawała w kruchcie, w kącie, oparta na kiju i nikt nie widział, żeby się nawet przeżegnała.

Skąpstwo Szurskiej przechodziło wszelką miarę. Chodziła w łachmanach, wypraszała sobie starą odzież, karmiła się ochłapami z kuchni, a co miała ordynaryi, chleba, świec, wszystko to sprzedawała. Ponieważ sknerstwo to przez długie już trwało lata, nie bez słuszości może rachowano, że znaczne pieniądze zebrać musiała. Trafiało się jej, że gdy tak nędznie odziana, zatrzymała się pod kościołem albo w kruchcie, ktoś, biorąc ją za żebraczkę, rzucił jej jałmużnę. Naówczas wzrokiem groźnym mierzyła go, ale miedziaki chowała do kieszeni.

Dziewczętom, które u niej służyły, gorzej było przy starej niż w piekle i kończyło się zawsze na tem, że, podroślszy, uciekały od niej.

Gdy jednej nie stało, natychmiast z rozkazu księcia drugą jej z wiosek otaczających dostarczano męczennice.

Szurska rzadko się kiedy pokazywała u Zaborskich, choć zdala na nie naglądała. Przyjście jej zdziwiło trochę gospodynię. Sądziła, że czegoś potrzebować od niej musiała.

— Niechże jejmościunia przysiadzie — a może co ciepłego? — zapytała Zaborska.

— Nie przyszedł tu za tem — zamruczała niewyraźnie baba — tylko chcę wam powiedzieć coś. Książę z was niekontent.

Zaborska porwała się niespokojna.

— Dlaczego? jak? za co? a cóż my zawiniły? — poczęła gorączkowo i pośpiesznie. Zmilkujcie się.

— Skarży się, tak — mówiła Szurska — ma rację. Obsypał was łaskami, wyciągnął z biedy: a wy mu kwaśnemi twarzami płacicie.

— Na Boga! jejmościuniu! ale ja padam przed nim, na mnie się poskarżyć nie może....

Stara podniosła skrzywione swe palce i wskazała ku pokojowi Faustyny.

— Codzień ją uczę rozumu, moja jejmościuniu, klekczę nad głową nieustannie; ale to taka natura, że jej niczem nierozweselić, ani dogodzić w niczem. — Cóż ja poradzę!

Otarła sobie oczy Zaborska.

Szurska słuchała, usta krzywiąc, jakby co przeżuwała.

— Nasz pan, wy wiecie — poczęła mruklawie — przy żonie wesela nie znajdzie. Ta też siedzi kwaśna i milcząca, ludzkiej twarzy uśmiechniętej rzadko zobaczy, radby u was choć trochę się rozchmurzyć....

— Moja jejmościuniu — przerwała Zaborska — robię, co mogę: Pan Bóg widzi.

Zamilkła. Szurska się jedną ręką o stół oparła i poczęła głowę potrząsać. Bóg wie, jakie po niej myśli przechodziły, bo na kilka pytań i zagadnień gospodyni nic nie odpowiadała.

Widząc ją tak zachmurzoną, jakby sobie co przypomniała Zaborska, poszła znowu do szafeczki i otworzyła ją, małeńki kieliszek czemś zielonym napełniła i przyniosła go Szurskiej.

— Napijcie się — szepnęła — to was rozgrzeje, nie zaszkodzi!

Z wahaniem się pewnem, Szurska rękę wyciągnęła do kieliszka, poniosła go do ust powoli i wylała duszkiem, ale ani słowem nie podziękowała.

Otarła się potem zbrukanym rękawem, po którym widać było, że oddawna do tego służył, poprawiła tułubek, chustę trochę naprzód głowy naciągnęła i zwróciła się do gospodyni.

— Pamiętacie com mówiła. U niego z wielkich łask, popaść w nieszczęście wielkie, jak piórko osmalić. Ja nic nie poradzę. Byle co? On czegoś niezdrów, czy zły: wszystko mu teraz nie w smak; dawno go ja takim nie widziałam. Teś go męczy o zapisy dla żony, z bratem się zdala kasają i warczą na siebie, w domu jak w grobie. Choćby duszę kosztowało, trzeba mu się śmiać i te czarne myśli rozpędzać, bo inaczej źle będzie; Zaborska — o! źle będzie! źle będzie....

I poszła nie pożegnawszy się ku drzwiom szłapiąc, powtarzając ciągle swoje:

— Źle będzie!

W parę dni potem, siedział znowu podłowczy w swojej izbie, nie u komina, ale przy oknie, które na podwórze wychodziło i przypatrywał się obojętnie, jak gromada wróbli, na rozsypany po

drodze obrok padłszy, o ziarna się rozbiła, gdy widok osobliwy w tych spokojnych zawsze podwórcach, oczy jego uderzył.

Przez bramę wsunął się był ostrożnie handlarz z kramikiem na plecach, a wiadomo było powszechnie, że tu ani Węgrów z olejkami, po kraju włóczących się, a zastępujących dawnych szotów, ani handlarzy co się z pudłami na plecach wałęsali, na zamek wpuszczać nie było wolno. Żaden się też tu nie ważył, a gdyby tylko w bramie się pokazał, gdzie go żołnierze łatwo mogli pochwycić, nie wyszedłby ani z całą skórą, ni z kramem. Jakim sposobem handlarz tak zuchwałym być mógł i tak rzeczy nieświadomym, aby w biały dzień wkradł się na dziedziniec? tego nie pojmował Marcyan. Wiedział, że handlarze biedni zwykle mężstwem zbytecznym nie grzeszą, a nieświadomością się on składać nie mógł, boć w miasteczku łatwo się było o tem, co na zamku się działo, dowiedzieć.

Pora była poobiednia, lecz nie zmierzchało jeszcze. Właśnie przed chwilą z okna widział podłowczy, jak stara Zaborska, chustą ciepłą osłonięta, poszła w odwiedzinach do Szurskiej, do której niekiedy dworować chodziła, w tem przekonaniu, że skąpa baba, jej skarby przez siebie ubierane przekaże.

Zuchwały handlarz, któremu cudem jakimś tak się poszczęściło, że w pustym podwórzu nikt go nie spotkał i nie zobaczył, przesliznął się w oczach Marcyana pod ścianą lewego skrzydła zamkowego, dopadł do drzwi, które na wschody do Zaborskiej prowadziły — i zniknął.

Podłowczy serce miał ludzkie i litościwe. Gdy spostrzegł to, aż po nim ciarki poszły: człowiek był zgubiony. Gdyby go psami tylko poszczuto i pokąsanemu a obdartemu z tego, co miał, dano choć z życiem ujsć, toby jeszcze wielkiem szczęściem było. Lecz mógł się dostać w ręce żołdactwa, i w śmierć być zatłuczonym, za to, że śmiał się wkraść, a ich uczynić odpowiedzialnymi za niebachność.

Marcyana pojąć nie mógł nawet, jakim sposobem w przejściu przez długą bramę, zawsze ciurów pełną, nie spotkał się z nikim. Bądźco bądź, był to człowiek zgubiony. Żał mu się go zrobiło. Radby go był wyratować — ale, jak?

Co chwila spodziewał się, że ów handlarz z kramikiem, wypędzony, bo go nikt nie śmiałby przyjąć, powinien być wyjść i pokazać się we drzwiach znowu. Tymczasem upłynęło długo, bardzo długo chwila, zwolna zmierzchać zaczynało, a handlarz z kramikiem nie powracał; to było dla podłowczego niemięjszą zagadką, jak samo wdarcie się jego na zamek. Drzwiami, któremi wszedł handlujący, nigdzie więcej dostać się nie było można — tylko do Zaborskich. Jej samej w domu nie było, służąca i Faustysia na górze. Co on tam mógł robić? Lada chwila też stara Zaborska od Szurskiej powracać będzie musiała.

Miał-żeby to być złodziej, który się zakradł, schował gdzieś i czekał nocy?

Przypuszczenie to najmniej było prawdopodobnem. Łamał sobie głowę Marcyan, drzwi z oka nie spuszczał. Zmierzchało tymczasem.

Od Szurskiej wyszła Zaborska i, idąc powoli, skierowała się wprost do swojego mieszkania. Handlujący i po jej powrocie nie pokazał się we drzwiach. Wprawdzie drugie wyjście z dolnych sieni prowadziło wprost na wały; lecz to było zawsze, a szczególnie zimą, na klucz zamknięte.

(Dalszy ciąg nastąpi).

GNIAZDO HETMAŃSKIE

STUDYUM OBYCZAJOWE Z XVII WIEKU

przez

Maryana Dubieckiego.

Było to roku pańskiego 1609, podczas dni głębokiej jesieni, dni słotnych, zimnych, wiejących

smutkiem i żalobą po całym obszarze ziemi Rzeczypospolitej, acz jej niebo dziejowe pogodą jeszcze naówczas świeciło i doba utrapień zdawała się być daleką... lub nigdy niedoścignioną. Zwykła u nas szaruga jesienna dziwną sprzeczność tworzyła z pogodą umysłu owoczesnego społeczeństwa, które, próżne wszelkiej troski, oddawało się wczasom, zbierając owoce prac ubiegłych dni Jagiellońskich. Walka, wtedy właśnie tocząca się na północno-wschodnich krawędziach państwa, do której prywatnie niewielu kraj nieoświeconie popchnęła, nie była ani tak uciążliwa dla bogatych ziem Rzeczypospolitej, ani tak powszechnie zajmowała umysły, aby zwykła w onej dobie pogoda ducha społecznego zaćmić się mogła na dłuższą chwilę. W pojedynczych gniazdach i rodach, u ognisk rodzin niekiedy zawiślały mniej lub więcej posępne chmury, lecz horyzont całego społeczeństwa świecił jasnym promieniem pomysłowości. Na tem wzorzystym tle pogodnych stosunków krajowych ciemne włókna prywatnych smutków, pojedynczej żaloby, wyraziście się odbijały. Indywidualizm pojedynczych rodów i jednostek, w sprawach dobra publicznego mocno rozwinięty, czynił wielokrotnie smutek jednostki smutkiem ogółu, żalobę pojedynczego gniazda, żalobą całej rzeczy rodów; podwaliny bowiem państwowe na barłach tych rodów i na krzepkich dłoniach jednostek legły.

Dzwon więc smutku, który uderzał kędys daleko, na szlacheckiej miedzy, biegł przez szerokie przestworza do odległych państwa krawędzi, odbijając się w najdalszych nawet zakątkach kraju, echem żalobnego wtóru. Łza, co płynęła nad trumną pracownika rzeczy publicznej, w głębi puszczy i mało przetrzebionych naddziwińskich ustępów, odnaleźć pospolicie mogła swą siostrzycę na karpach stokach, wśród modrzewiowych prastarych dworców u źródeł Dniestru, lub na piaskach Noteci. Tak tam pospolicie w one czasy bywało.

Cóż tedy dziwnego, że gdy boleść i smutne przeczcucia zawisły nad dachem rodziny Koniecpolskich, zgromadzonej w Ruszczu, wiosce Sieradzkiego Województwa, u łoża, złożonego ciężką niemocą patryarchy rodu, Alexandra Koniecpolskiego, Wojewody Sieradzkiego, wieść ta żalobna biegła daleko, na północ i wschód Polski, do pokrewnych mu lub sojuszem przyjaciół złączonych z nim rodów, do miast litewskich i siół podolskich? Rodzina Koniecpolskich już w XVI wieku z głównej siedziby swej, z Sieradzkiego Województwa, z ziemi Rudzkiej, rozpostarła swe wpływy, stosunki, daleko na wschód, w kierunku biegu wód Dniestrów, by z czasem przejść z dolnego Dniestru, na dolny Dniepr, z Podola na Niż. Prywatne sprawy, związki krwi i przekonania, niosły sztandar Rzeczypospolitej coraz dalej, ku wschodowi. Był to pochód narodu, co nie mieczem, lecz krzyżem i pługiem podbojów dokonywał. Rodzina Koniecpolskich w tym dziejowym pochodzie polskiej kultury, szeroką strugą płynącą ku Dnięprowi i za Dniepr, do Siewierskich borów i na Murawskie szlaki, przodowała innym. Od końca XVI wieku, w ciągu kilku dziesiątków lat, na pierwszych posterunkach owego pochodzie stanęli Koniecpolscy i niekiedy kośćmi swemi użyźniali te napół puste, a pospolicie wrogie, przestrzenie. Alexander Koniecpolski, którego w późnej lat jego dobie, widzimy złożonego w Ruszczu śmiertelną niemocą, już w XVI wieku wytknął rodzinie swej drogę przyszłego jej posłannictwa. Miała ona być przodownią polskiego wpływu i polskiej cywilizacji na południowo-wschodnich skrajach Rzeczypospolitej i poza jej miedzą graniczną, w kierunku Pół Dzikich i na lewych dopływach Dniepru.

Ożenienie się w XVI wieku Alexandra Koniecpolskiego, późniejszego Wojewody Sieradzkiego, z ostatnią dziedziczką imienia i dóbr na Podolu, zamożnej rodziny Sroczyńców, rozwarło dlań wrota Ziemi Podolskich; do dawnych dorzuciło nowe ogniwo stosunków, co wszystko zapewniało jego rodzinie podniosłe na Rusi stanowisko. Po Buczańskich, Jazłowieckich, mieli Koniecpolscy ująć ster rozszerzania wpływu Rzeczypospolitej na *po-brzeżach* Dniestru i Bohu. Podczas długiej doby dni swych Alexander Koniecpolski wpływ ten swego rodu na dalekich krańcach państwa krze-

wił, ustalał, aż wreszeie, gdy kończył się pierwszy dziesiątek lat XVII wieku, syt pracowitego żywota, legł na śmiertelne łożo w przeczcuciu, iż wątek życia już się mu przerywa.

Boleści to łożo samotnem nie było. Wojewoda Sieradzki miał gniazdo rodzinne, w którym wypielęgował liczne grono dziatwy, mającej w przyszłości stać się chlubą, nie tylko rodziny, lecz i kraju.

Starzec, zstępujący do mogiły, spracowany był wieloletnim trudem około prywatnego i publicznego dobra. Lata młode przeszły mu na wschodnich kończynach kraju, w dobrej, rycerskiej szkole, bo na dworze księcia Konstantego Ostrogińskiego, Wojewody Kijowskiego, gdzie wielokrotnie z orężnymi w „pola chadzał“, torując w ten sposób na przyszłość drogę, starszemu ze swych synów, Stanisławowi, który na owych „polach“ zostawił ślady i swych rycerskich trudów i swego gospodarzenia i tam, wreszcie dosłużył się hetmańskiej buławy. W dalszej dobie życia widzimy go poselającym zbrojne poczty, własnym kosztem usztyftowane, na inflancką potrzebę i chlubnie walczącym pod Byczyną. Za dni zaś rokoszu, przy Zygmuncie III, Alexander Koniecpolski staje u królewskiego boku i znowu własne zaciągi w pole wyprowadza. Pierworodny syn Alexandra, Stanisław, był wówczas przy ojcu, który mu niepozwolił dłużej zostawać w obozie, kiedy zaszła potrzeba podniesienia ręki na swoich, lecz odwołał go do domu z temi słowy: „pókim żyw, a na koniu siedzieć mogę, królowi panu miłościwemu służyć chcę i przy dostojenstwie jego gotówem umierać; ciebie zaś na krwi braci swej zaprawiać nie chcę: niech cię Bóg chowa do usługi ojczyzny w dalsze lata“.

I, zaiste, chował Bóg owego Stanisława, pozwolił mu niejedną usługę oddać miłej ziemi rodzinnej, a nakoniec pomnożył chlubę rodziny i znaczenie gniazda, które on przeważnie rozstawił, urósłszy na hetmana.

Łoże umierającego Wojewody Sieradzkiego otaczało liczne grono dzieci. Oprócz owego Stanisława, który wprawdzie dorosłym już był i posiadał w owym czasie Wieluńskie Starostwo, ale jeszcze, według słów ojca „dobrze podróżować“ mógł, widzimy całą cizbę synów i braci, znacznie wiekiem różniących się. Gdy najstarszy z braci umierającego pana sieradzkiego, Mikołaj, liczył prawie dziewięć dziesiątek lat życia, inni, a mianowicie młodsze wojewodzianki sieradzkie, za ledwie z dzieciństwa wychodziły. Pięciu synami i czterema córkami pobłogosławił Bóg gniazdo rodzinne pana sieradzkiego. Bracia przytem dwaj, siwowłose starce przy łożu tem śmierci stali i świadkami i poręczycielami sumiennego wypełnienia woli umierającego byli.

Ostatnia ta wola, z której czerpiemy treść naszego opowiadania, rzuca cały snop słonecznych promieni na owoczesne u nas życie domowe i stosunki ekonomiczne szlacheckich rodzin, wyrastających na możnowładców. Hetman w. kor. Stanisław Koniecpolski, zbyt to wydatna postać dziejowa, zbyt wielki wpływ na losy kraju posiadał, by nie zwracały naszej uwagi szczegóły, bodaj drobne, stosunków, wśród których on urósł i wpływów, co padały na jego umysł w dniach młodości.

Z testamentu jego ojca, zdziałanego na niewiele dni przed zgonem (d. 5 Listopada 1609 r.) widzimy, że u łoża umierającego stały córki: Alexandra, Leonarda, Barbara i Eufrozyna — tudzież, poza wspomnianym już Stanisławem, młodszy synowie: Przedbór, Remigian, Krzysztof i Jan.

Mysł o przyszłości córek przedniejszą tworzyła troskę umierającego starca. Ufa on najzupełniej małżonce swej, o czem kilkakrotnie z czułością wspomina, niemniej jednak, acz wie, że „będzie ona miała respekt (względ) na potrzebę dziatek“, z trwogą — patrzy na przyszłość córek, obawiając się, by nie uczyniły lekkomyślnego wyboru. Przyszły wybór córek uważa on za sprawę tak pierwszorzędnej znaczenia, iż od niej zaczyna szereg swych życzeń i rozporządzeń ostatniej woli.

„Małżonkę swą — pisze on — pilnie napominam i ich mości (to jest opiekunów) proszę, i dla Boga proszę, aby nie zaciągali z lada jakim przyjaźni

z córkami memi. A jeśli im to Pan Bóg przejrzy — mówi on w dalszym ciągu swych uwag i ostatnich żądań — a z kim uczciwym do przyjaźni przyjdzie, z dobrą naradą powiniennych (których uposładać nie trzeba), to kończyć“.

Troskliwość ta daleką jest od narzucania woli swej córkom; owszem, w niczem on ich nie krępuje, ale pragnie rozciągnąć ścisłą kontrolę nad tymi, co przekraczają próg jego domu, doświadczanie bowiem snadź nauczyło go, iż przedewszystkiem unikać należy wprowadzania pod swój dach ludzi, którychbyśmy nie mogli lub nie chcieli umieścić w naszym gnieździe rodzinnem. Jedna chwila śmiałej opozycji, stanowczego zamknięcia drzwi przed natrętem, nie pozwalając osnucia bodaj jednej nici bliższego starunku, chroni wielokroć od bolesnych następstw, dających się uczuć, nie podczas jednej chwili, ale nieraz w ciągu szeregu lat i dla kilku pokoleń.

Majątność Wojewody Sieradzkiego, zostawiona dzieciom, była znaczną, lecz córki otrzymać z niej miały jedynie po czternaście tysięcy, tak z majątku ojczystego, jako też z macierzystego, niezależnie od klejnotów, które posiadała matka w swem rozporządzeniu i zapewne udarować niemi pragnęła córki. Uposażenie to szczupłe córek zmniejszało się znacznie, na przypadek wstąpienia której z nich do zakonu, w takim bowiem razie, zaleca Wojewoda Sieradzki, „jeśliby która miała tę dobrą wolę być z natchnienia Pańskiego zakonniczką, dać przystojne ochędóztwo, jako inni dają, a gotowych dwa tysiące złotych“. Wiana te uważały się snadź za rzecz niezbyt śpieszną do wyplacenia, gdyż synom poleca się zbieranie posagów dla córek; nawet przeznaczają się pewna część dóbr, z dochodu których miały się wybierać owe wcale niedonośne uposażenia. Kapitałów nie zostawiał Wojewoda Sieradzki; owszem, były nawet i należności tym i owym, w jakiej jednak wysokości, nie wiemy — nie posiadamy bowiem oddzielnego kodycyłu do testamentu, w którym był spis długów — nie sądzimy jednak, by do znacznej dobiegały summy, gdyż z tej samej części dóbr, której dochody dostarczyć miały środków na uzbieranie wiana dla córek, powinny były i długi się spłacić. Skromne wiana córek bogatego domu wypływały z ogólnego obyczajów epoki. Mężczyzna owej doby dziejowej nie szukał wiana, nie liczył na nie, dalekim był od ubiegania się o uposażenie swej przyszłej i budowania na niem pomysłu jutra. Mienił on ją *bogdanką*, to jest od Boga daną, brał przeto taką, jaką dawał mu Bóg, pełen ufności, iż tak, jak jest — dobrze jest.

Marcin Bielski w swym „Sejmie niewieściom“ wyraźnie mówi o obyczaju dawania małego wiana. To, co rodzice dawali córce zamaż wychodzącej, było niejako upominkiem tylko rodzicielskiego domu, a wcale nie zabezpieczało jej materyalnego bytu. Ów byt oparty był wyłącznie na pracy męża i tem mieniu, które sami małżonkowie w ciągu swego pożycia zebrali. Niewiasta XVI wieku wносиła pod dach mężowski jedynie spory zasób cnót domowych, wielkie poczucie obowiązku, co wystarczało za skarb największy, było podwaliną szczęścia i spokoju na długie pasko przyszłości. Owszem, zdarzało się, i to dość często, iż mąż, miłujący żonę, która żadnego nie posiadała mienia, dawał jej posag, wydzielając pewną część swego mienia na jej wyłączny użytek, co się nazywało *oprawą*.

Oprawa nie była wcale dożywociem żony, lecz jej wyłączną własnością. Jeżeli małżonkowie schodzili ze świata bezpotomnie, krewni żony wchodzili w posiadanie oprawy, z której ustępowali dopiero wówczas, kiedy ich spłacono. Że wiano było tylko upominkiem pamięci rodzicielskiej, świadczy o tem zwykle powtarzana w owe lata przypowieść, iż wiano dlatego się tylko daje, aby dziewczyna nie wyszła zpod rodzicielskiego dachu „równie z niczem, jak panna z tańca“. Więc i na owe czternaście tysięcy Wojewody Sieradzkiego, zapisane każdej z córek, patrzeć należy jako na dar ojca, a nie na pełne uposażenie. Zupełnem uposażeniem miało być mienie męża, gdyby zamaż wyszły, lub mienie zakonne, wraz z wstąpieniem do klasztoru. Obyczaj tamecznej chwili dziejowej, nie przypuszczał innej drogi życia; te co nie wyszły zamaż, pospolicie poświęcały resztę

swych dni Bogu; szukały schronienia w klasztorach. Pozycya, bądź na jednej, bądź na drugiej drodze, ściśle była określona, stała; zajmowano swe stanowisko zeznawczo, ze spokojem, z rezygnacją. Chwalebna ta zgoda z sobą, sprowadzała równowagę ducha, harmonią myśli i czynu, rozszerzając dokoła spokój, ciszę i atmosferę pełną zdrowia, pogodną a promienną, zupełnem pojednaniem się z okolicznościami zewnętrznymi, z troską, z losem, z ludźmi.

Klasztor, życie zakonne, bardziej od dróg życia rodzinnego usposabiała do takiego pojednania się z losem i ze światem, do szukania zadowolenia w istnieniu nieziemskim, w bytowaniu wśród dziedzin kontemplacji religijnej — i bytowanie to wystarczało zupełnie. Klasztor uważano, nie jako odpoczynek po walce życia, lecz jako służbę Boga, ofiarę z sił najlepszych, z całej pełni życia. Kiedy stawano u bram klasztoru, stanowisko już było określone; troszczyć się o poświęcającego się Bogu, co najwyżej za zbyteczne uważano.

Tam przyszłość zarysowywała się wyraźnie; życie zaś rodzinne mogło być rozmaitem, jutra życia rodzinnego nie podobna było odgadnąć. Znać przeświadczony był o tem Alexander Koniecpolski, gdyż w swych ostatnich prośbach ku żonie zwróconych, w swych ostatnich myślach o córkach, przeważnie zajmuje się troską, nie o ich życiu zakonnem, ale jakim być może ich los przyszły w stanie małżeńskim. Troskliwy ojciec pragnął zapewne, aby o mężach jego córek można było rzec według słów Reja z Nagłowic, „A sam, to jest mąż, mówi Rej w *Żywocie człowieka poczciwego*, w swej stałości stanie jako drzewo cedrowe nad pięknym źródłem mocno stojące, które już żadnym wichrem nigdy poruszone być nie może“.

Ogniwa wzajemnej miłości i zgody jednoczyły w jedną spójnię nader jednolitą całość to gniazdo rodzinne. Wspólność zasad barwę mu nadawała jednaką, rozszerzając dokoła ciszę, którą by łatwo mógł zakłócić zgieć, nie według myśli obdany, człowiek innych przekonań, mąż zpod innego sztandaru. Jakiemi zaś były przekonania owego starego gniazda, mówi nam sam wojewoda w swych radach, zostawionych dzieciom: „Pilno napominam, pisze on, aby się (to jest dzieci) Boga bali, braci miłowali, dla których dobrego, spokojnego (bytu), ani zdrowia ani dostatku niech nie żalują, za nowe rzeczy niech się nie chwytają, złych niechaj nie naśladować“.

Pochopność do nowinek rozmaitego rodzaju znać i wówczas nie mała u nas była, chociaż w nich, według słów jednego ze współczesnych nam pisarzy, niema pokarmu narodowego, niema chleba dla płaczących, współczucia dla upadłych, nadziei dla statecznych¹⁾.

Wojewoda lubił mieć do czynienia wyłącznie z ludźmi sumienia i serca, i takich tylko zalecał dzieciom na dzierżawców włości, w razie swej śmierci. „Starać się o ludziem cnotliwe, Boga się bojące i wiążące ich kondycjami, jakom i ja czyniłem“ — pisze wojewoda na jednej z kart swego testamentu. Charakterystyczną jest rzeczą ta chęć otaczania się jedynie ludźmi uczciwymi. To obawia się, aby synowcowie, z którymi miał jakieś zajęcia majątkowe, nie krzywdzili jego włości, to zaleca, aby zmniejszając ilość sług, zostawiano uczciwych, którzyby mogli być przykładem dla młodszych pokoleń służących. Systemat ten zapewniał ciągłość tradycji poczciwości wśród sług tego starego, patryarchalnie urządnego gniazda. Troskliwość sług i domowników, których wojewoda wciąż mienił swymi przyjaciółmi, nieustannie się spotyka wśród jego ostatnich rozporządzeń. Troskliwość ta nie była jeno w słowach, ale pamięć swą o nich udawadniał on rozporządzeniami, hojnie ich obdarzającymi; nazwa zaś „przyjaciół“ to nie cześć miano; wojewoda daje im dowody swej przyjaznej życzliwości: oni są powiernikami jego zamiarów, co do urzędów w interesach i gospodarskich spraw, do nich i ich pamięci poleca się odwoływać w rzeczach, o których ogólnikiem

tylko napomyka w testamencie. Pamięć owych „sług-przyjaciół“ miała uzupełniać niektóre rozporządzenia jego w zarysach pobieżnych nakreślone na kartach ostatniej jego woli.

Słudzy, jako prawdziwi domu przyjaciele, podpisują się w charakterze świadków na wojewodzińskim testamencie, i później, w lat siedmnaście, tychże sług domu spotykamy czyniącymi dział majątku między synami wojewody. Widocznie czas nie wpływał tu ani trochę na zwolnienie węzłów przyjaźni, która w jednaki sposób wiązała ojców, przy schyłku XVI wieku, jak i synów, gdy się rozpoczynała druga ćwierć XVII stulecia.

(Dalszy ciąg nastąpi).

W TRUMIENECZKĘ.

W trumieneczkę złożę małą
Z mojej duszy boleść całą,
I na wieczną mogiłę ciszę
W niej mą przeszłość ukolyszę....
Wszystkie łzy i żale moje —
I prześnionych marzeń roje,
I na los się nieskarżącą,
Miłość smutną i gorącą,
I mą boleść przebolełą —
W trumieneczkę złożę małą.

Z żadnych ócz łzy nie pocieką,
Gdy tej trumny zamkną wieko,
Gdy jej w sercu grób usypię;
Nie zapłacze nikt na stypie,
Po zamarłej mej przeszłości.
Ciche duchy spłyną w gości,
Wszystkie szeptać będą smutnie,
Białe dłonie kłaść na lutnie,
Gdy tak cicho i tajemnie
Wywołają ducha ze mnie,
I odpłyną z nim daleko —
Z żadnych ócz łzy nie pocieką.

Feli.... Re....

NOWINY PARYZKIE.

Gazeta kobieca — Ciekawe szczegóły o doktorkach. — Platon w Akademii, studium p. Huit'a; treść tej ważnej książki. — Panna Lemière'a Studium o Celtach i Gallach. — Historia starożytna sztuki, albo artyści cudzoziemscy we Włoszech, p. Bertolotti. — Rodzina Malatestów z oryginalnych dokumentów archiwum seneńskiego, przez p. Iriarte. — Egipt za czasów greckich i rzymskich, p. Lumbroso. — Oświata publiczna w Grecji od czasu zdobycia Konstantynopola, przez p. Chastiotis.

Paryż, 10 Stycznia 1882 r.

Wychodzi tu w Paryżu, wiecie zapewne, pismo specjalne, pod tytułem: *La Gazette des Femmes*. Wypisuję z niego następne, bardzo ciekawe, szczegóły o kobietach-doktorkach we Francji, i mam nadzieję, że będą one przyjemne dla czytelników *Bluszcza*. Niech je przyjmą jako wiązanie ode mnie na Rok Nowy — daj Boże, szczęśliwy — jak mawiali ojcowie nasi. Dopełniam w ten sposób miłego obowiązku i zaspakajam miłą jeszcze chęć mego serca.

Jeżeli ja zapożyczam tych wiadomości z *Gazety kobiecej*, to gazeta zapożyczyła ich z dzieła dotąd jeszcze nie ogłoszonego, ale które ukaże się wkrótce na świat. Jest to wielki Słownik Medyczny p. Jana Allessona. Podaje on dokładną liczbę rodowitych Francuzek, które otrzymawszy stopień doktorski, poświęciły się praktyce. Jest ich siedm: 1) panna Henryka Verneuil, naczelną lekarką (*Médecin-en Chef*) Domu zdrowia w Plessis-

1) K. Chałton iewski.

Lalande (z Fakultetu Paryżkiego w 1870 roku); 2) panna Androlina Domerge (Montpellier, 1875); 3) pani Magdalena Brès, z domu Gobelina, ozdobiona akademickimi palmami, officerskiego stopnia, lekarza Théâtre des Nations w Paryżu (z fakultetu paryżkiego w 1875 r.); 4) pani Richard, praktykująca w Nantes (Paryż, 1876); 5) pani Guenot, praktykująca w Paryżu (z fakultetu paryżkiego, w 1881 r.); 6) panna Klaryssa Danet, praktykująca w Montpellier (z fakul. paryż., w 1881 roku); 7) pani Perrée (z fakul. paryż., 1881 roku), praktykująca w Paryżu, bardzo wzięta. Do tych siedmiu za kilka tygodni przybędzie pani Inez Gaches—dawniejsza śpiewaczka—(z fakul. paryż.), obecnie zajęta właśnie uzyskaniem dyplomu.

Szkoda wielka, że autor, mając dokumenta pod ręką, poprzestał na wyliczeniu Francuzek, a o cudzoziemkach dodaje jedynie nawiasem, że wielka ich liczba otrzymała stopień doktorski w Paryżu i w Montpellier i że niektóre używają dziś wielkiej wziętości i pewnej sławy we własnej ojczyźnie. W ich liczbie są: Miss Barker i Miss Dahms, które ukończyły nauki w Paryżu, i dziś stoją na czele dwóch wielkich, kobiecych zakładów w Anglii (Szpitale dla kobiet)—następnie: Miss Garrett, Miss Mary Putnam, panna Guzarówna, Zeneida Okónkowa, Annie Reog i t. d.

Zauważono, że w ogólności dzieci i młode panienki lepiej przyjmują rady lekarek niż lekarzy; przeciwnie, praktyka kobieca i starych panien jest trudniejsza do zdobycia i do zachowania dla lekarek, do których te ostatnie udają się po radę, chyba na ból zębów albo na nagniotki. Tu więc *similia similibus non curantur*. Ale i to przejdzie z czasem.

Żyjemy w wieku, który podsumowuje, że tak powiem, wszystkie nabytki umiejętności i wiedzy ludzkiej, nagromadzone przez tyle wieków. Rewizja prac przeszłości jest dziś jedynym prawie zagadnieniem, we względzie historyi. Sprawdzić źródła, zestawić tradycje, wyciągnąć najracjonalniejsze wnioski: oto jest zadanie dzisiejszego historyka. Wszystkie dziś prawie źródła stały się dla badaczy dostępnymi, ale wynalazki lub odkrycia nowe, jaśniejące takim blaskiem w naukach ścisłych, w zakresie historyi należą do rzędu rzeczy niezmiernie rzadkich; tworzy się tu bardzo mało.

Mało, ale dobrze! Praca cierpliwości umiejętniej, jakby, wyrabianie i oczyszczanie drogich kruszców, w których potrzeba wydzielić wszystko, aż do najmniejszej cząsteczki złota, staje się dziś niekiedy tak doskonałą, że stanowi prawie *odkrycie*.

Jedną z takich prac jest studium profesora p. Huit'a pod tytułem: *Platon w Akademii*. Choć to studium nie jest drukiem ogłoszone jeszcze, chociaż tyle już pisano o Platonie, iż możnaby z tych pism ułożyć całą bibliotekę: myślę, że będzie to zajmującym dla poważniejszego czytelnika *Bluszczu*, jeżeli się dowie, w jaki to sposób, oryginalny i nowy — pan Huit potrafił wniknąć w ten świat zamglony odległej Starożytności i rozjaśnić cienie, które otaczają tę ogromną postać filozofa i postać jedną z największych i najpiękniejszych starożytnego świata.

A naprzód powiedzmy, że wiadomości, jakich nam dostarcza Starożytność we względzie Akademii, jako szkoły filozoficznej, są bardzo szczupłe. Sam Platon zamilcza zupełnie o tem, co się tyczy jego osoby i nauki: i to się pojmuje łatwo, albowiem, postępując inaczej, naraził-by się na popełnienie wyrażonego anachronizmu, on, w którego dziełach Sokrates, jego mistrz, jest główną i dyktującą osobą jego „Rozmów”. Żaden ze współczesnych mu ludzi, nawet sam Izokrates, nie wspomina o nim; wiadomości mamy od późniejszych.

Platon, „boski” Platon, w podróży swoich zwiedził Egipt, tę ziemię klasyczną nauk kapłańskich, i bezwzględnie, musiał wiedzieć o prawnach, które służyły za podwalinę stowarzyszeniu Pitagorejczyków. Ale podobnego rodzaju zakłady naukowe byłyby niechybnie podejrzanymi dla Ateńczyków. Zkądinąd znowu, czyż Platon mógł naśladować Sofistów, którzy chodzili od miasta do miasta, szukając słuchaczy gotowych do przyklaskania i do opłacenia ich cześćmi deklamacyj?

Nie, zaiste; wypowiedział on głośno i zbyt często powtarzał, do jakiego stopnia pogardzał tem kuglarstwem słowa i tem polowaniem na niedoświadczoną młodzież. Czynie z filozofii frymark lub widowisko publiczne, było mu to równie wstrętnem, jak mistrzowi jego, Sokratesowi. A jednak ani jego usposobienie, ani jego nauka, tak rozległa i tak głęboka zarazem, nie dozwoliła mu ograniczyć się jedynie do niewolniczego naśladowania mistrza.

Platon pragnął zostać, i był rzeczywiście, zupełnie czem innem, niż popularnym moralistą, poszukującym wszędzie błędów i uprzedzeń, aby je obalać lub prostować; występując zaś na scenę naukową musiał przecież zgłębić i zrozumieć: jaką pomocą lub jaką zaporą miały się stać dla jego zamiarów obyczaje i przyzwyczajenia panujące w jego ojczyźnie. Trzeba tu przypomnieć sobie, czem było wówczas wychowanie w głównych miastach Grecji. Było tam wszędzie *gymnazyum* (to jest zakłady do ćwiczeń fizycznych), ale żadnej stałej instytucji, przeznaczonej dla nauki i umysłowego wykształcenia młodzieży. Z małym wyjątkiem niewielu przepisów ogólnych, rząd albo raczej to, co Francuzi nazywają *état*, państwo wogóle, było zupełnie obce wszelkiemu umysłowemu wykształceniu obywateli. Grek w owe czasy rozwijał się i uczył się ciąglem obcowaniu z podobnymi mu ludźmi. W tem-to społeczeństwie i w tej komitywie pragnie on żyć i wzrastać. Gdziekolwiek zaśłyszysz wymowne słowo, biegnie aby je usłyszeć i nasycić się najsubtelniejszymi sporami uczonych. Sokrates i sofisci wprowadzili w modę rozprawy filozoficzne publiczne, a naśladowując ten przykład, Eurypides wprowadził je na scenę. To też Platon, zakładając swą szkołę, był pewien, że jego wezwanie nie zostanie głosem wołającego na puszczy. Świetność wyobraźni, zapal przenikający łatwo do serc słuchaczy, ogrom nauki i wiedzy: posiadał on wszystko, cokolwiek mogło pociągać i przywiązać słuchaczy.

Był to ważny i stanowczy wypadek w historyi Aten, to uroczyste otwarcie pierwszego z jej filozoficznych zakładów; a przecież fakt ten spełnił się niepostrzeżenie prawie: żaden ze starożytnych pisarzy nie zapisał daty jego, a nowożytni przez przypuszczenie jedynie, przypisują mu 388 albo 387 rok. Niektórzy błędnie uważali *Fedona* jako mowę wygłoszoną właśnie przez mistrza na uroczystość otwarcia Akademii.

Jaki był rzeczywiste programmat Platona? Obejmował on, jak wszelka ówczesna filozofia, całą dziedzinę nauk i wiadomości na dostrzeganiu opartych, nie w tem bynajmniej rozumieniu, aby Platon wykładać miał, już-to muzykę, już anatomię, matematykę albo wymowę, ale iżby obowiązywał pokazać stosunek, jaki zachodził pomiędzy wszystkimi naukami i dyalektyką, stojącą wówczas nad wszystkim. Był on może jednym z najbieglejszych geometrów swojego czasu; ale współcześni uznawali w nim jedynie wielkiego filozofa, i to w nim też podziwiał potomność.

Według greckiego zwyczaju szkoła Platona składała się z ludzi wszelkiego wieku i powołania; żaden examen nie dawał nikomu szczególnego prawa wejścia do niej, nikogo też nie wykluczano. Powiadają jednak, iż nade drzwiami swojego domu kazał on wyryć następujący napis: „Kto nie jest geometrą, nie ma prawa tu wchodzić”. Napis ten, którego znaczenia nie należy przesadzać, tłómaczy się tem, iż Platon ważną, niezmiernie rolę w swej nauce przypisywał matematyce.

Teraz zobaczymy: jak należy przedstawiać sobie Platona wśród uczniów swoich? Czy, jak drugi Sokrates, rozmawiał on tylko swobodnie o rozmaitych przedmiotach z kolei? Czy, jak Arystoteles sprowadzał całą naukę do pewnych formuł i zagadnień? Był on zarazem jednym i drugim, stosownie do okoliczności i czasu, albo raczej było to pogodzenie tych dwóch systematów w jednym; podobnie jak pisma jego zawierają w sobie, bez najmniejszej sprzeczności, wszystkie rodzaje stylu i wszelkie formy dyskusji. Zresztą rozmowa (dIALOG) panuje w nich przedewszystkiem; jako nieoceniona wskazówka metody, przyjętej wyłącznie przez Platona, przechadzającego się pod portykami akademii lub w cieniu platanów. Dzięki ożywieniu, jakie panować musiało w tem ustnem

nauczaniu mistrza, wolnem od wszelkiego planu i przymusu, Platon był w prostym i nieprzerwanym duchowym stosunku ze swymi uczniami. Nikt lepiej od Platona, (świadczą o tem sławne jego dialogi), nie umiał się zniżyć i zastosować do wszelkich usposobień umysłowych słuchaczy swoich; otwierać powoli i stopniowo drogę po której prawda miała przenikać do umysłów uczniów, i posługiwać się zadziwiającą wymową, która osładzała brzegi tej czaszy w chwili, kiedy otechła przedmiotu mogła przerazić umysł niewtajemniczony we wszystkie zawilosci wiedzy.

Ale Platon nie mógł się ograniczyć jedynie do naśladowania Sokratesa, przyswajając sobie jego metodę, której tamten dał pierwszy wzór w Grecji, nawet rozszerzając jej granice i udoskonalając wykład. Geniusz tak głęboko samoistny, musiał pójść dalej. W jego-to dialogach występuje poraz pierwszy na scenę w Grecji, styl czysto filozoficzny z właściwym sobie słownikiem, to jest terminologią i ścisłym dokładnem określeniem (*definitio*). Ztąd to pochodzi, że dzieła Platona, te nawet, które się zdają najprostszymi, najprzystępniejszymi z pozoru, wymagają, aby być zrozumianymi, prawdziwego wtajemniczenia się w naukę mistrza. Platon zresztą nie poprzestał na subtelnym i delikatnym rozbiórce (*analysis*): podniósł się aż do najwyższej syntezy, i niewątpliwie jego ustny wykład, równie jak jego pisma, przedstawiał ciągle i postępowy rozwój, niezmiernie ścisłej, szczerze i żwawej, dyalektyki.

Później, kiedy się coraz bardziej zbliżał ku starości i kiedy stawało mu się coraz trudnijszem podtrzymywać spory z równą żywością, jak dawniej, w miarę zresztą, jak coraz głębiej zapuszczał fundamenta swojego systematu naukowego, sprowadzony został mimowolnie do zmodyfikowania swojej metody i do postawienia na miejsce dawnych swych rozmów—prawdziwych wykładów, kursów, o których nam wspominają Arystoteles i Symplicyusz, jego komentator. Nauka jego pod tą nową formą musiała zyskać wiele na głębokości wykładu, a zato straciła na popularności. Wskutek-to zapewne tych okoliczności, aby wynagrodzić najwierniejszych swych uczniów i utwierdzić pomiędzy nimi ściślejszy związek przyjaźni, Platon ustanowił w Akademii biesiady, których pamięć i podanie przechowały się przez długie wieki. Inne jeszcze przykłady dowodzą nam, ile on zwykł był łagodzić, zapomocą tych wspólnych i radośnych rozrywek, surowość i powagę swej roli, jako filozofa. Leżało to zresztą w usposobieniu Greków.

(Dokończenie nastąpi)

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY

przez

Bronisława Zawadzkiego.

(Dokończenie).

Wachow Koniuszko, rozwijający się dotąd trochę jednostronnie w zbyt czystem powtarzaniu scen nocnych z krakowskiego „ghetto”, wstąpił w najnowszy obrazie swoim „Blau Montag” na pole malarstwa rodzajowego, i to z niemałym powodzeniem. Wprowadza on nas do izby majstra szewskiego, zarzuconej rupieciami, należącemu do procederu. Na stołku siedzi majster i, odłożywszy chwilowo na bok pracę, czyta gazetę. Figura typowo pomyślana; mamy przed sobą rzemieślnika „w każdym calu”, nie tylko z charakterystycznie dobranym kostyumem, ale z ducha i rysów fizjognomii, wykrojonej z ram warsztatowego życia. Czytanie gazety przez rzemieślnika jest to także akt sam przez się wielce charakterystycznie się tłómaczący; jest to żmudna walka, niedostatecznej inteligencji z żądzą dostrojenia się do miary wyobrażeń drukowanego pisma; to pasowanie się na swój osobny humor, którego fizjognomią udało się panu Koniuszce nader zajmująco i typowo wyobrazić. Jego „majster”, wczytany w polityczną

gazetę, uczuwa się „na wyżynie sytuacji“ i rośnie we własnych oczach na szewskim stołku. To właśnie uroczyste namaszczenie, to poczucie spełniania wyższego aktu życiowego, nwydatnił artysta z szczerą i naturalną prawdą, z komizmem lekko naznaczonym a bardzo wymownym. Poza plecami majstra stoi chłopak i zajądając ukradkiem smacznie kęs chleba, podgląda chytrze i sprytnie na rozścieloną szeroko i pompatycznie przed majstrem gazetę. Izba przepełniona rynsztunkiem kunsztu szewskiego, przedstawia się malowniczo i charakterystycznie. Pędzel p. Koniuszki w tym obrazie dowiódł precyzji technicznej, daru spostrzegawczego i werwy w indywidualizowaniu pewnych ogólnie typowych właściwości. Obie figury są w pomysle bez zarzutu, w rysunku zaś nie wolne od uchybień. Kompozycja całego planu zręczna i bogactwem szczegółów ożywiona; parę drobiazgów jeszcze dodać, a byłoby już tych rupieci zawiele. Ton kolorytu ma nieposlednią siłę i dosadność; artysta umie cieniować farbami z oryginalną subtelnością; w każdym razie ton jaśniejszy byłby dla niektórych żywiołów ogólnego planu korzystniejszy.

Witolda Pruszkowskiego: „Wilkołak“ należy do najszcześniejszych pomysłów tego artysty, który umie być zawsze oryginalnym w motywie i sposobie kolorystycznego traktowania wedle ducha i nastroju osnowy. Wśród lasu, pod kępą drzew nagich i ciężkim śniegiem obleczonych, na białej, puchowej pościeli śnieżnej leży martwa dziewczyna w świątecznym stroju ludowym z wiankiem na głowie. Zresztą pustkowie i cisza, techną jakąś tajemniczą ponętą śmierci, zrozpaczenia, żaloby. Tumany śnieżnej mgły wloką się w powietrzu, w górze i w dole śnieg i tylko śnieg. Rzecz w tonie śliczna i tragicznie podniosła, sytuacja twórczo zrozumiana i z szlachetnym efektem uzmysłowana. Obraz ma siłę nieprzepartą melancholijnej expressyi; robota wytworna i miękka, ton całości malowanej szeroko i ubogiej w szczegóły, a temsamem potężniejszej w zbiorowym wyrazie, wiąże się w przejmującą symfonią akordów smutku i żalobnego przygnębienia.

Leopolda Loefflera: „Kwestarz“ jest zużytym już nieco w pomysle, ale artystyczna wytworność malowania, należyte ustopniowanie tonu, miękkość i czystość w prowadzeniu pędzla, trafna i szlachetna charakterystyka figur, niepozabawiona szczerą i prostego humoru, dobry gust w kompozycji — pozwalają łatwo przywiązać się do tej spokojnej, serdecznej sceny familijnego życia.

Hipolita Lipińskiego: „Targ na Kleparzu“ rozproszył się w taki chaos drobnych figurek, rzuconych niezbyt malowniczo na długą smugę płótna, że z konieczności osłabił się przez to indywidualny charakter szczegółów, a pozostało tylko efektowne bez zaprzeczenia wrażenie całości. Szkoda, bo Lipiński wybornym jest malarzem typów mieszczańskich i wiejskich: mógł on na nie ogólnego pomysłu nanizac mnóstwo prawdziwych perełek rodzajowej charakterystyki; a tymczasem natłok figur zmusił go do takiego pomniejszenia ich kształtów, że jednostka przestała nas interessować w rozgardyaszu; wrażenie zaś całości nie zdoła nigdy zastąpić siły plastycznej pojedynczych figur. Zresztą obraz malowany z błyskotliwą brawurą pędzla, ma wysokie zalety w kompozycji misternie płatanej i pełnej grup ożywionych.

Ludwika Kurelli: „Włoszech wędrujący“ z sokolem jest cackiem salonowym. Czystość linii, miękkość rysunku, przejrzystość i jedwabistość cieniowania, ogólna gracia pędzla, są kosztownymi przymiotami poetycznego pędzla Kurelli, w których mało kto mu w naszej drużynie artystycznej wyrówna. Nieposlednią wartość posiadają studia głów *D. Krajewskiego*. Mężczyzna w kostymie z XVI wieku technie siłą wyrazu i charakteru; malowanie energiczne i stanowcze w tonie. „Spirytualista“ do powyższych zalet pędzla dodaje zajmujący nastrój psychiczny. *Wojciecha Kossaka*: „Drugi strzał“ celuje świeżością i precyzją kolorytu, prostotą układu i prawdą dramatycznej sytuacji.

Zpomiedzy licznych krajobrazów na wystawie p. Krywulca uderza najmocniej i najsympatyczniej *Bolesława Łaszczyńskiego*: „Wybrzeże w Sorrento“. Nad zatoką piętrzy się malowniczo wysoka skała; na szczycie jej wiesz się fantastycznie willa

z basztą; wiodą ku niej wpośród załomów skalnych kręte schody i most sklepiony. Fala spokojna łąbi się w regularnie cięte linie; niebo gorące; skały błyszczą podwójnym światłem w lazurze wody, rozsiwając przed okiem widza mnóstwo czarujących niespodzianek kolorystycznych; szklistość przezroczej toni nadzwyczajna; rzeźba skał, pełna smaku i oryginalnych pomysłów, świadczących o bogactwie, świeżości i poetycznym nastroju fantazyi u malarza. Oświecenie przesłiczne i nalezycie umotywowane, atmosfera promieniąca tysiącem blasków i poetycznych półcieni; całość oddycha poezią i nieokreślonym powabem. *A. Sandoza*: „Poranek“ i „Wieczór w pustyni“ celują wiernością i prawdą expressyi, tudzież wdziękiem prostoty i przyrody. *Benedyktowicza*: „Krajobraz leśny“ ma piękne szczegóły, ale całość razie i nalezycie umotywowane, atmosfera promieniąca tysiącem blasków i poetycznych półcieni; całość oddycha poezią i nieokreślonym powabem. *A. Sandoza*: „Poranek“ i „Wieczór w pustyni“ celują wiernością i prawdą expressyi, tudzież wdziękiem prostoty i przyrody. *Benedyktowicza*: „Krajobraz leśny“ ma piękne szczegóły, ale całość razie i nalezycie umotywowane, atmosfera promieniąca tysiącem blasków i poetycznych półcieni; całość oddycha poezią i nieokreślonym powabem. *A. Sandoza*: „Poranek“ i „Wieczór w pustyni“ celują wiernością i prawdą expressyi, tudzież wdziękiem prostoty i przyrody. *Benedyktowicza*: „Krajobraz leśny“ ma piękne szczegóły, ale całość razie i nalezycie umotywowane, atmosfera promieniąca tysiącem blasków i poetycznych półcieni; całość oddycha poezią i nieokreślonym powabem.

Przejdźmy do nowo wzniesionego przy pałacu Potockich salonu p. Gracyana Ungra, który otwarciem swoje zainaugurował świetnie rozwieszeniem genialnej „Bitwy pod Grunwaldem“ *Matejki*. Zaznaczając tu tylko ponowne pojawienie się na wystawie warszawskiej tego porwijącego dzieła, które zostało w swoim czasie w „Bluszczu“ nalezycie ocenionem, przechodzimy do innych nowości salonu.

Duży obraz *Em. Herncisza*: „Wyświecona“ przypomina „Skazaną“ *Rossowskiego* nie tylko podobieństwem sytuacji, ale i metodą szkoły, z której wyszli obydwaj młodzi artyści. W samej kompozycji nie trudno wysledzić różne drogi, którymi obydwaj wywołać pragną wrażenie. U *Rossowskiego* grupy układają się, że tak powiemy, odśrodkowo; *Herncisza* nadaje im zbieg koncentryczny, przezco w obrazie pierwszego, sytuacja rozwija się szerzej i swobodniej, u *Herncisza* streszcza się bogata w szczegóły akcja w jednym ognisku, do którego wszystko dąży spojrzeniem, ciałem i gestem. Kompozycja *Rossowskiego* jest więcej malowniczą, *Herncisza* prostszą i naturalniejszą; w figurach pierwszego dostrzegamy głębszy wyraz zajęcia i wzruszenia, w grupach *Herncisza* szerszym i ogólniejszym jest ożywienie ogólne, chociaż mniej charakterystycznie uzmysłowane. Wydobymy tu różnice wewnętrzne i kompozycyjne obu obrazów, ponieważ zawiele słyszeliśmy zdań, że jeden obraz jest powtórzeniem drugiego. „Wyświecona“ jest kobieta rasy wschodniej, cygańskiej; stoi ona na krużganku ratusza półnago, zlekka tylko białą płachtą narzuconą; obok niej sędzia czy woźny trybunału czyta wyrok wypędzenia występnej z miasta sposobem używanego powszechnie w średnich wiekach „wyświecenia“. Parę figur magistratualnych, tudzież kat w czerwonym ubraniu z pletnią w ręce, otaczają najbliższą hardą dziewczynę, która z pogardliwym urąganiem i energią duszy w występkę zatwardziałej słucha obojętnie wyroku, bez pocucia hańby i skruchy moralnej. U schodów ratusza zebrały się tłumy różnobarwnych figur: żaki, rycerze, rzemieślnicy, żydzi, halebardnicy, mieszczki; wszystko to czeka na zbliżającą się chwilę kary; mnóstwo pochodni już goręje a od blasku ich wznosi się jaskrawa luna i purpurowo odbija się w oknach otaczających domów. Skazana i czytający wyrok są postaciami oryginalnymi i zajmującymi pomysłami; namietność zbrodni wyobrażona w oczach ładnej fizycznie, ale odrażającej moralnie kobiety umiał artysta odtworzyć z siłą i prawdą wyrazu; humorystycznie trochę pomysłana postać woźnego ma pokrój i charakter rodzimej tradycji. Zresztą figury nie uderzają szczególniejszymi rysami charakterystyki, a w układzie ich mało dostrzegamy zmysłu malowniczego. Pod względem sposobu malowania i rozwinięcia techniki obraz przedstawia dużo jeszcze do życzenia; rysunkowi brak swobody, barwom charakteru, ogólnemu tonowi życia i ciepła, a nawet szlachetności, ale pomimo tych znamion niepełnego jeszcze opanowania środkami technicznymi, obraz p. *Herncisza* ma wyższą wartość jako dzieło talentu, bogatego przez wewnętrzne zasoby i twórczą werwę, która bywa tajemnicą powodzeń wtedy

już nawet, gdy jeszcze szkoła nie zrobiła wszystkiego, co do niej należało.

Slicznym jest obraz *B. Andrzejkowiczówny*: „Kardynał Medici na ruinach Rzymu“. Po surowej jeszcze szorstkości tonu u *Herncisza*, ta spokojna a wytworna szlachetność pędzla utalentowanej i dobrze wykarmionem poczuciem piękna uposażonej artystki, podwójną zyskuje cenę. Postać kardynała, prawdziwego dziecka owego renesansu włoskiego, co dzięki duchowi wskrzeszonego humanizmu, tak szczerze i namietnie zakochał się w pięknie starożytnym, jest pełną powabną i pogody, a malowaną w liniach czystych i dziwnie harmonijnym kolorycie. Niemniej szlachetną jest poważna postać uczzonego archeologa, który przyklął u grobowca i podaje kardynałowi starożytną amforę. „Scenerya“ obrazu dostraja się estetycznie do pięknej grupy; malowanie subtelne, miękkie i wypieszczone; rzecz pełna uroku i spokojności antyku.

Artura Grotgera: „Piękna Helena“ jest drogocenną spuścizną pędzla przedziwnie lubego i pieściwego w karnacji. W fantastycznej sypialni na zielone tło rzuconą widzimy postać nagiego dziewczęcia o bujnych, złotych włosach, z ręką zalotnie i falisto przegiętą ponad główką, podobną do śpiącej *Wenus Tycyana*, z okiem wilgocią zamglonem, z ustami do rozkoszy otwartymi. Szkoda że z idealnie pomyslaną główką nie licują grube dory i niezbyt regularnie toczone kształty ciała.

Kończymy dzisiejszy przegląd nasz wycieczką na pole bardzo pokrewne, chociaż nie wkraczające w dziedzinę twórczego malarstwa. Zdaje nam się wszakże, iż praca, na którą zwracamy uwagę na tem miejscu, jest także czynem artystycznym, a wartość jej podnosi duch obywatelski, który ją cechuje i zasługa o szerszej doniosłości społecznej, jaka z niej płynie. Pragniemy tu odświeżyć w pamięci czytelników drogocenne wydawnictwo *Napoleona Ordy*. W dalszym ciągu „Album widoków“ ojczystych miejsc historycznych i pamiątkowych, pojawiła się nowa serya tychże zawierająca widoki *Rusi Czerwonej*, dziś *Wschod. Galicji*. Serya ta, jak poprzednie, rysowana z natury przez nieustrudzonego wędrownika po historycznych kurhanach naszej przeszłości, p. *Napoleona Orde*, a litografowana w zakładach *Fajansa*, zawiera 30 widoków, zaczerpniętych z gleby może najbardziej wątku malowniczego dla artysty przedstawiającej. Najdroższe wspomnienia dziejowe przesuwają się nam w myśli, gdy patrzymy na te widoki *Podhorzec*, *Żółkwi*, *Oleska*, *Łańcuta*, *Halicza*, *Odrzykonja*, *Trębowli*, *Wawelu*, *Tyńca*, *Dubiecka*, *Szczepanowa*, *Melsztyna*, *Przemysła*, *Wiśnicz*, *Czorsztyna*, *Bieczka*, *Krasieczna*, *Jazłowca*, *Tęczyn* i innych. Rysownik, posiadający duszę prawdziwie artystyczną, umie prawie zawsze patrzeć na swój przedmiot z jego najefektowniejszej strony, tak, że stare te zamczyska, świątynie i mogiły stanowią szereg pięknych motywów pejzażowych i bratają sztukę z historyczną pamiątką. Zasługa p. *Ordy* jest prawdziwie niespożyta, praca wytrwała i obywatelską, z gorącej miłości kraju wyrosłą, wszystko więc składa się na to, aby społeczność potrafiła żywo i szczerze zainteresować się tem wydawnictwem równie pięknem, jak pożytecznem i sumiennie wykonanem.

Korrespondencja zagraniczna.

Lwów w Grudniu 1881 r.

Środki przedsięwzięte w teatrze dla zabezpieczenia publiczności na wypadek ognia. — Smutne dzieje budowy teatru lwowskiego. — Odczyty zimowe. — Wykłady ks. *Siemiońskiego* o „Mickiewiczu“. — Kłopoty miejskie. — Drożyzna mięsa i innych wiktualii. — Kommissya „Approwizacyjna magistratualna“. Stowarzyszenie spożywcze. — Ubodzy. — Bazar świąteczny księżny *Sapieżyny*. — *Rytmy* *Teofila Lenartowicza*. — Nekrolog literacki. — Różowe domino. — *Niewolnik*, tragedia z czasów rzymskich, przez *Bolesława Czerwińskiego*. — Wystawa robót kobiecych.

(Dokończenie).

Pomimo drożyzny, kto może pracować, ten jeszcze sobie da jakąś radę i z głodu nie zginie.

Ale los ubogich, niezdolnych do pracy, żyjących z jałmużny, z miłosierdzia cudzego, jest dopiero prawdziwie pożałowania godny, wobec ciężkich zim warunków. Nigdy jeszcze może tyle, ile w tym roku, nie widziano ubóstwa i nędzy, tylu żebraków waleśających się po ulicach Lwowa, pomimo, że posiadamy dwa stowarzyszenia św. Wincetego z Pauli, męskie i żeńskie, rozwijające bardzo gorliwie swą działalność, i że związana zeszłej zimy „Opatrzność“, w tym samym działając kierunku, obmyśla środki zaradcze, dążące do usunięcia żebractwa z ulic i zapewnienia niezdolnym do pracy ubogim przytułku na zimę.

Na dochód Zakładu św. Teresy urządziła księżna Leonowa Sapieżyna, podobnie jak innych lat, sprzedaż podarunków „Na gwiazdkę“. Bazar ten, sprzedaż czy *wenta*, jak rozmaicie nazywano, otwarty był przez dni cztery przed świętami Bożego Narodzenia, a przedmioty przeznaczone na sprzedaż zakupiono po większej części od kupców z rabatem, który stanowił zysk bazaru, pozostający na cel dobroczynny. Bazar tegoroczny odróżniał się tem od dawniejszych, iż znajdowało się w nim najwięcej rzeczy wyrobu krajowego. I tak bardzo wiele rzeźb z szkoły rzeźbiarstwa w Rymanowie, jako to najrozmaitszego rodzaju ramy, i inne ozdobne wyroby, odznaczające się artystycznym smakiem i czystością wykonania; koronki i tym podobne roboty kobiece ręczne z zakładów w Wiązownicy i innych krajowych szkół tego rodzaju. Były dalej w Bazarze piękne albumy, książki, globusy, rozmaite przybory do pisania i do toalety, do zastawy stołów, wreszcie wielki zbiór zabawek dzieciennych, owego najpokupniejszego w porze „Gwiazdki“ przedmiotu. Obok Bazaru urządzony był sposobem lat dawniejszych bufet, gdzie dostawało się wykwinne za guldena śniadanie, do którego uprzejmie gospodynie Bazaru dostarczały bezpłatnie półmisków z własnej kuchni. Dochód z tej *wenty* przynosi corocznie przeszło tysiąc guldenów; jakoż i w tym roku mniej więcej tażsama okazała się kwota przychodu. Najwięcej zysku przynosi, zawsze bufet, z przyczyny, że dostarczone doń wiktuały nie nie kosztują, podczas gdy za towary wzięte od kupców płacić potrzeba. Rzeźby Rymanowskie rozkupiono wszystkie. Mniej szczęśliwie poszło z koronkami i rzecz naturalna, bo w kołach uboższych stosunkowo mało kto ich używa, a wielkie panie nie kupują koronek krajowych, lecz bruxelskie. Wyrób ten czasami dopiero u nas coraz bardziej rozpowszechniać się będzie.

Smutną wiadomość z pola literatury przynosi nam koniec roku. *Tydzien*, jedyne pismo literackie u nas wychodzące, kończy z Nowym Rokiem ciernisty swój żywot. Już to samo, że było ono jedyne i że odtąd pozostajemy pozbawieni Bóg wie na jak długo pisma, poświęconego wyłącznie zadaniom literackim, zmuszeni poprzestawać na felietonie pism codziennych politycznych, dosyć pomacoszemu obchodzących się z literaturą, już to samo każde nam żałować *Tygodnia*, któremu należy oddać słuszną, że, chociaż nie był i być nie mógł wśród przykrych okoliczności, z jakimi walczyć musiał, przy braku zasobów materyalnych, tak wiernym przedstawicielem rozwoju literatury, jakim sobie pismo literackie wyobrażamy i jakim być powinno, to przecież czynił, co było można w takich stosunkach, redagowany starannie, gorliwie i wytrwale. *Tydzien* przechodził rozmaite pod względem kierunku i wartości literackiej koleje. Założony przed laty sześciu czy siedmiu przez A. J. O. Rogosza, spółzawodniczył początkowo z założonym równocześnie przez księgarnię Gubrynowicza *Ruchem literackim*. Walka szła zwycięsko. *Tydzien* miał więcej urozmaicenia, wybitnego kolorytu i ruszał się o wiele zwawiej od *Ruchu*. Następnie przeszedł na własność spółki redaktorskiej, złożonej z p. p. Bartoszewicza, wła-

ściciela księgarni polskiej, i prof. Ochrowicza i Abakanowicza. Pod ich redakcją pismo przybrało cechę naukowo-pozytywistyczną; lecz już po roku, gdy znany pod pseudonimem „Rodocia“ Biernacki wszedł do spółki z *Księgarnią Polską*, *Tydzien* przeszedł na jego własność i pod jego redakcją nabrał znów więcej barwy czysto-literackiej i zasługiwał ze wszechmiar na poparcie swą urozmaiconą i pocziwą treścią. Oprócz powieści, tej głównej okraszy, tego przysmaku, bez którego żadne pismo u nas się nie obejdzie, zawierał *Tydzien* bądź oryginalne, bądź tłómaczone rozprawy rozmaitej treści literackiej, kronikę społeczną miejscową, rozbiory świeżo wydanych książek, pisane bezstronnie, i dosyć kompletnie zestawianą bibliografią chwili obecnej i bieżące wiadomości literackie i naukowe. Czegoż chcieć więcej od pisma tak szczupłemu jak u nas każde pismo literackie rozrządzającego funduszami? Stało ono zwłaszcza ostatnimi czasy, jedynie wytrwała do podziwiania pracą i zapobiegliwością redakcyi, a luka, jaką po sobie w literaturze galicyjskiej pozostawi, da się wkrótce dotkliwie uczuć. Przedtem jeszcze, przed dwoma już laty, poprzedził spółzawodnika swego do grobu *Ruch literacki*: i tak spełżył na niczem bujne nadzieje i głośnie zapowiedzi ożywienia literatury w Galicyi, przy założeniu obu pism pomienionych.

Natomiast będziemy mieli od Nowego Roku nowe pismo humorystyczne. Już w pierwszych dniach Grudnia pojawiły się na rogach ulic zagadkowe na różowym papierze plakaty, na których znajdowały się dwa tylko ogromnymi czcionkami odbite słowa: *Różowe Domino*. Nikt nie umiał sobie na razie wytłómaczyć znaczenia owych słów — kim, czem było owe domino w różowym zapowiadające się kolorze, i dlaczego tak zagadkowo przedstawia się publiczności? Czy to nowy sklep z maskami przy nadchodzących zapustach zaleca się w ten sposób, czy zjeżdża nowa jaka Sara Bernhardt, zamierzająca wystąpić w różowym kostiumie na którym z drobnych teatryków tingel-tanglowych, których się ostatnimi czasy namnożyło po tutejszych kawiarniach i restauracjach? Ciekawość powszechną zaspokoili dopiero wydany w dni kilkanaście prospekt na nowe pismo humorystyczne, z którego dowiedzieliśmy się, że dawny *Chochlik* przeistacza się w *Różowe Domino*, aby na wielkiej maskaradzie świata, chlostać ostrzem satyry, co na chłostę i sztyrsto zasługuje. Czy *Różowe Domino*, zapowiadające się nieco zamerykańską ową zagadkową po rogach ulic reklamą, odpowie swemu zadaniu, o tem przeszłość „Chochlika“ wątpić nie dozwala, ale inne pytanie czy znajdzie się u nas dostateczny zasób humoru i pomysłów, aby zapełnić aż dwa pisma humorystyczne — dawnego *Szczutka* i nowe *Domino*? Dotąd wszystkie iskry humoru, wszystkie siły satyryczne gromadziły się w *Szczutku*, do którego i Chochlik (Włodzimierz Zagórski) należał. Gdy skutkiem niewiadomej jakowejś seysyi *Różowe Domino* staje do współzawodnictwa ze *Szczutkiem*, pytanie: czy przepołowienie to sił redakcyjnych nie wyjdzie na szkodę i staremu i nowemu pismu? Przesądzać jednak nie podobna. Spółzawodnictwo wywołuje energią i bywa silnym bodźcem powodzenia.

Na zakończenie dzisiejszego ustępu o literaturze wspomnieć jeszcze muszę, chociażby mimochodem, o nowym utworze dramatycznym p. Bolesława Czerwińskiego pod tyt.: *Niewolnik*, przedstawionym dwukrotnie w miesiącu bieżącym na tutejszej scenie. Jestto pierwszy utwór sceniczny młodego autora, pracującego na polu publicystyki, którego zbiór poezyj pomniejszych wyszedł niedawno w osobnym wydaniu. W poezjach tych przeblyskiwało wiele talentu, wiele satyrycznego humoru, obok prawdziwie podniosłego miejsca-

mi liryzmu i ciepła uczuciowego. *Niewolnik* różni się od tamtych, nie tylko formą ale i zaletami znamionującymi rozwój i siłę talentu. Słusznie powiedział jeden z humorystów tutejszych po pierwszym przedstawieniu, że *Niewolnik* Czerwińskiego *zniewala* publiczność do wysłuchania go aż do samego końca ostatniego aktu. Odłożywszy na bok żartobliwą formę tej oceny, humorysta w istocie prawdę powiedział. Zajęcie widza potęguje się z postępem sztuki. Jestto tragedia na wysokim trzymana koturnie, której treść wzięta z klasycznego świata starożytnych Rzymian. Rzecz dzieje się na sto lat przed Chrystusem, w Sycylii, a przedmiotem, który posłużył za tło autorowi do osnucia tragedii, jest rokosz niewolników pod wodzą Ateniona i Tryfona. Główną zaletą tragedii Czerwińskiego jest bogactwo dramatycznych kollizyj, rozwijających się żywo i naturalnie, co świadczy o wielkim zasobie talentu, tudzież piękna podniosła dykcja i znajomość świata starożytnego. Wobec tych zalet ustępują drobniejsze usterki, z których autor łatwo się przy następnych dziełach otrząśnie, nabywszy więcej wprawy w tym rodzaju, w którym pierwsze kroki tak świetnie mu się powiodły. Chociaż pod względem scenicznym, obok wielu scen bardzo efektownych i dobrze obmyślanych, dałoby się gdzieś gdzieś coś zarzucić, jak n. p. to, że akt trzeci rozpoczyna się monologiem sofisty i sytuacją zupełnie podobną do tej, na jakiej zakończył się akt drugi, że znajdują się tu owdzie anachronizmy, jak średniowieczne pojęcia o honorze, włożone w usta Rzymianki, chociaż nawet postać głównego bohatera z powodu chwiejności charakteru nie zyskuje całej sympatii widza, a właściwym bohaterem jest stary niewolnik, zamało na pierwszy plan tragedii wysunięty, pomimo tych wszystkich, jak powiadam, i innych drobiazgowych usterek, tragedia ta posiada znakomite zalety, i zapowiada bujny talent, mający rozległą przyszłość przed sobą.

Od niejakiego czasu mamy otwartą w Muzeum Przemysłowem miejskiem *wystawę robót kobiecych*. Otwarcie jej odbyło się uroczystość w sali radnej wobec licznej gromady zaproszonych osób. Członek dyrekcji Muzeum Przemysłowego, p. Wierzbicki, będący głównym kierownikiem i, rzecz można, duszą całą instytucji, który też głównie zajmował się urządzeniem obecnej wystawy, odczytał treściwie sprawozdanie obejmujące dzieje naszego Muzeum Przemysłowego w ciągu dziesięciu lat od czasu jego założenia, korzyści zeń wpływające ku podniesieniu i artystycznemu uszlachetnieniu rękodzielnictwa, usiłowania dyrekcji w tym kierunku przedsiębrane, tudzież programmat przyszłych czynności celem coraz większego wzbogacania muzeów i połączenia z nim szkół odpowiednich zadaniu, jak: istniejąca już szkoła rysunków modelowania, szkoła robót ręcznych kobiecych, do której założenia wstępem ma być obecna wystawa i t. p. Po wysłuchaniu z wielkim zajęciem powyższego sprawozdania udało się całe zgromadzenie na drugie piętro do sal muzealnych dla obejrzenia wystawy, w swoim rodzaju bardzo bogatej i zajmującej. Nie chcąc przedłużać nad miarę dzisiejszej korespondencji, opis wystawy do następnego odkładam listu.

Władysław Zawadzki.

Do dzisiejszego numeru „Blaszczy“ dołącza się 2-gi arkusz powieści pod tyt.: *Stoczona walka*.

TPEŚĆ. Z życia, przez Maryą Ilnicką. — Na Bialskim zamku, powieść historyczna, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Gniazdo hetmańskie, studium, przez Maryana Dubieckiego. — W trumieneczkę, (poetyza), przez Feli... Re... — Nowiny paryżkie, — Przegląd artystyczny, (dokończenie), przez Bronisława Zawadzkiego. — Korespondencya zagraniczna, (Lwów), (dokończenie).

Warszawa. — Druk S. Orgelbrandta Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberga.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 13 Января 1882 года.